„Głos Narodu“ ilustrowany.

Dziennik i dziennikarstwo.

Szóste mocarstwo w Europie — jak nazywają dziennikarstwo — jest jeszcze dla wielu czytelników potęgą zupełnie tajemniczą... Każdy czuje na sobie wpływ jego rządów, każdy mu podlega, lubo nie każdy ulega, ale jaką jest jego organizacya, jaką jest historya tego arkusza zadrukowanej bibuły, który mocarstwowe dzisiaj na świecie zajmuje stanowisko — nie każdy miał sposobność poznać.

Bo też dziennik jest jedną z najskomplikowańszych i najdziwniejszych maszyn, które istnieją na świecie. Wiek ubiegły nazwano rozmaicie, nerwowym go ochrzczono, technicznym, przemysłowym — a właściwie należałoby go nazwać wiekiem dziennikarstwa, nietylko dlatego, że żaden poprzedni nie stał tak dalece pod wpływem prasy, ale głównie z powodu, że dziennikarstwo obejmuje już wszystkie cechy wyżej podane, więc nerwowość, najwspanialsze wynalazki techniki, produkcyę przemysłową w wielkim stylu itd. Wszystkie czynniki współczesnej cywilizacyi są w służbie dziennikarstwa; dopiero przy ich rozkwicie mogła prasa stać się technicznie tem, czem ją widzimy. Telegraf podmorski i elektryczne motory maszyn, pociągi express i bicykle, stenografia i najzawilsze techniki typograficzne — wszystko to warunkuje rozwój publicystyki dzisiejszej, a ponadto jeszcze jeden czynnik niesłychanie ważny i konieczny: swoboda polityczna. Najpotężniej prasa rozwija się też w Ameryce; Rosya ma dzienniki wielkie rozmiarami, ale Anglik lub Amerykanin nie ścierpiałby ich u siebie ani 48 godzin.

Weźmy taki wielki dziennik amerykański — nie, wielki dziennik polski, najlepiej taki, jaki jeszcze nie istnieje, a który na tem miejscu próbujmy założyć.

— Panie prezesie — przyszedł raz zmarły niedawno dziennikarz lwowski do znanego bankiera. — Załóżmy dziennik: ja dam ideę, pan — pieniądze...

— Wie pan co — odrzekł bankier. — Wolę już przeciwnie. Ideę ja dam, daj pan pieniądze.

I oto fundament, na którym zbudowane jest dziennikarstwo dzisiejsze. Ten, co o św. Pawle powiedział, że gdyby ożył, założyłby dziennik, grubo się mylił; apostoł, jak wszyscy pierwsi chrześcianie, gardził mamoną, a bez niej o własnym dzienniku nie ma mowy. Minęły te czasy, kiedy Franklin stał przy kaszcie i sam składał sobie świstki, które następnie sprzedawał, kiedy np. »Kuryer Warszawski« (1820) składał się z mizernej ćwiartki bibuły, przynoszącej »najnowsze nowości« — rzemiennym dyszlem do Warszawy przywiezione — dwa razy na tydzień, a redaktor — wydawca —



Włodzimierz Perzyński. Zembaczyński Dr Antoni Beaupré. Józef Jasieński. Dr Kazimierz Rakowski.

REDAKCYA „GŁOSU NARODU“.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 23 listopada 1901 roku.

polityk — reporter w jednej osobie był tym księdzem, co sam dzwonił na kazanie i w dodatku zębami. Dzisiaj jeszcze się zdarza, że jakiś nowojorski »Herald« lub londyński »Daily Telegraph« w naszych oczach urasta z świstka na dziennik, drukujący 500 do 800.000 egzemplarzy przy pomocy jednego kapitału: sprytu niesłychanego, ale z reguły wstępuje dzisiaj każde pismo na widownię z gotowym już kapitałem milionowym — u nas oczywiście skromniejszym – płynącym z kieszeni znacznych spółek akcyzowych, banków lub... kas rządowych.

To wydawcy. Pierwszą rzeczą wydawców: wyszukanie sobie redaktora. Czas, w którym redaktorem »Dziennika mód« we Lwowie był śp. krawiec Kulczycki, płacący współpracownikom jak Bielowski, Szajnocha za artykuły... piękną kamizelką, należy do niepowrotnej przeszłości. Wielkie dzienniki zagraniczne, stojące w usługach partyi politycznej, mają jako redaktora zwykle wybitnego męża publicznego, deputowanego, który pobiera przyzwoitą pensyę — w »Timesie« 20.000 funtów szterlingów, w »Tempsie« 50.000 franków — organizuje redakcyę, stawia na jej czele dyrektora, a sam zagląda raz na dzień, na krótką konferencyę, aby podyktować stenografowi lub z referentem omówić sytuacyę. Znalezienie odpowiedniego człowieka jest tu zadaniem najważniejszem: redagowanie bowiem dziennika to bitwa, bezustanna, codzienna bitwa. Redaktor naczelny obmyśla plan, redaktor kierujący wykonywa go i musi posiadać tyle przytomności umysłu, zimnej krwi, daru oryentacyi, przezorności a zarazem szalonej nieraz odwagi, co komenderujący wśród kul gradu. Redaktor jest z konieczności wszechwiedzącym i powinien umieć — jak Napoleon — wszystkie roboty, związane z fachem żołnierskim. Biedna jednakowoż redakcya, w której on wszystko też sam robi. Zasada podziału pracy i na tem polu święci tryumfy. Każda redakcya większego nawet polskiego dziennika ma dzisiaj swojego sekretarza, przyjmującego zwykłych interesentów i prowadzącego korespondencyę, oraz fachowych referentów. Wielki dziennik — to prawdziwy gabinet ministeryalny z osobnym resortem dla spraw polityki zagranicznej, wewnętrznej, wojny, finansów, komunikacyi etc. Każda redakcya chętnie przyjmuje artykuły nadesłane, często prosi o zabranie głosu specyalistów, ale jest tak zorganizowana, że może sobie sama wystarczyć — wszystko referować własnemi siłami. Prowadzi to w dziennikarstwie także do specyalizacyi. Są panowie tylko od teatru i tylko od giełdy, jedni są lepszymi strategikami, niż Moltke, inni bystrzejszymi dyplomatami, niż Bismark. U nas najczęściej pisze jeden i tensam poetycznym stylem o wczorajszych występach primaballeriny, a mniej poetycznym — polemikę w kronice, między jednym artykułem a drugim tłómacząc wiadomości do rubryki ekonomicznej.

Czego się wymaga od dobrego dziennikarza? Dwóch darów: szybkiego chwytania informacyj z życia bieżącego i żywego ich obrazowania. Każdy dziennikarz jest właściwie reporterem, choć nie każdy reporter dziennikarzem. Od dziennika nie wymaga się głębokich, uczonych studyów, tylko jak najwięcej nowości — oczywiście autentycznych i zajmująco podanych. Dziennik ma racyę bytu tylko przez artykuły wstępne, ale żyje tylko informacyami. Informator, reporter, to najpoczestniejszy współpracownik. Rolę jego zajmują często, co prawda, nożyczki, ale redagowany niemi dziennik nawet u nas warunków żywotności nie ma. Prawdziwy dziennikarz woli czerpać z fantazyi, niż z natchnienia nożyczek. Fantazya jest też często źródłem, z którego wypływają owe specyalne, znane »kaczki« — ale byle były soczyste, smacznie podane, czytelnik lepiej je strawi, niż uczone, nudne rozprawy. Nie wynika stąd, by hodować kaczki, lecz by czytelnikom świeżą i dobrą podawać pieczeń. Znany redaktor wiedeński Szeps stał się stąd sławnym, że przyjechawszy w latach pięćdziesiątych ze Stanisławowa do Wiednia i nie mając z czego żyć, zaczął na poddaszu swem pisać »wrażenia naocznego świadka« z placu wojny krymskiej. Dzisiaj każdy wielki dziennik ma wrażenia i sprawozdania autentyczne. Angielscy, amerykańscy, francuscy dziennikarze idą w ślad za każdą armią, docierają, gdzie największe niebezpieczeństwo, spędzają po kilkadziesiąt godzin na koniu, byle być jak najwcześniej na najbliższej stacyi telegraficznej. Rząd angielski wcześniej się dowiaduje z dzienników o tem, co się dzieje w Transwaalu, niż od ministerstwa wojny. Dla dziennikarza-reportera, gdy chodzi o otrzymanie ważnej wiadomości, nie ma groźby ani przeszkód. O jaki cel? Oto np. początek fortuny Rotszyldów stąd się datuje, że jeden z protoplastów rodu był obserwatorem bitwy pod Waterloo i po zwycięztwie Wellingtona, gdy na kanale panowała burza tak straszna, że kuryer, wysłany do rządu nie mógł się przeprawić, on patrząc śmierci w oczy dostał się pierwszy do Londynu i miał czas... zakupić akcye giełdowe, spekulujące na upadek Napoleona. Był wówczas... reporterem w interesie wielkiego kapitału. Stanley, wysłany przez »Heralda« dla odszukania Livingstona — to reporter cywilizacyi, Dygasiński, wysłany przez »Kuryer Warszawski« do Brazylii był reporterem w interesie narodowym. W zmniejszonem wydaniu mamy ten typ u nas w postaci człowieczka, biegającego codzień na policyę po wypadki i wciskającego się oknem do domów i instytucyj, polującego *per fas et nefas* na nowinki. Są tylko wykonawcami Twojej woli, szan. Publiczności!

Wielki dziennik ma swoich sprawozdawców wszędzie: w stolicach i miastach prowincyonalnych — nazywają się wówczas korespondentami. Korespondent wielkiego dziennika — to nieraz prawdziwy ambasador mocarstwa; taki Blowitz, reprezentant »Timesu« w Paryżu, pobiera wyższą pensyę, niż niejeden ambasador. Organizują oni służbę informacyjną — w sposób, wymagający niesłychanego wysiłku i sprytu. Już korespondent wiedeński, obsługujący pismo galicyjskie, wstaje codziennie zimą i latem o godzinie 4 rano i posyła do redakcyi dziennika wiedeńskiego. Z mokrego arkusza korekty wydania porannego chwyta najnowsze wiadomości, które o godzinie 8 publiczność we Lwowie czyta, jako oryginalne depesze z Bombayu, Berlina etc. W kuloarach parlamentu, przed salą posiedzeń Koła polskiego, można go widzieć, polującego na posłów, na nowinki. Wszystko to jednak idyllą w porównaniu z trudami i sztuczkami przedstawiciela wielkiego dziennika europejskiego.

Redakcya więc zorganizowana, maszyna w ruch puszczona. Pracuje ona z piekielną szybkością i forsą. Wielkie dzienniki europejskie wychodzą



Henryk Nennel. St. Stabrawa, metrampaż. Józef Hopcas. Dr K. Górski. Michał Chyliński.
Henryk Müldner. Rudolf Starzewski. Poseł Dr Wład. Leop. Jaworski.
Felicyan Szopski, recenzent muzyczny. St. Kopernicki. St. Sierosławski.

REDAKCYA „CZASU“.

rano — armia więc głównych współpracowników pracuje noc całą. I u nas, gdy każdy »porządny« człowiek spi, dziennikarz »urzęduje«. Jeden o północy, wśród dymu i gwaru kawiarni, morduje teatr, inny powtarza echa odbytego przed godziną zgromadzenia politycznego, redaktor nocny odbiera i tłómaczy depesze i ślęczy nad tysiącem cyfr telegramów handlowych. O wpół do ósmej rano redaktor i zecer nocny mówi kolegom »dobranoc« — główny sztab armii dziennej obejmuje robotę. Kierownik sortuje nadesłane rękopisy, kosz redakcyjny, jak Moloch, pochłania ofiary, referent od polityki zagranicznej czyta »Neue Freie Presse« i zmienia kartę Europy. Co chwila ktoś przybiega z wiadomością, telefon jęczy, goście nudzą — sytuacya polityczna, zaciemniana przez konferujących z redaktorem polityków, »klaruje się« — a co kilka chwil wpada chłopak z drukarni i jak dyabeł nad grzeszną duszą staje nad schylonym przy biurku, piszącym nerwowo gazeciarzem, żądając »skryptu«.

A ów współpracownik, a ów korespondent i cały zresztą zastęp polityków, kronikarzy, fejletonistów, którzy nerwy swe drą na strzępy, mózg szarpią, nie dospią, nie dojedzą i są zawsze na usługi szan. Publiczności! Praca ich — to nieraz sproszkowanie olbrzymich talentów i świętych zapałów, a zawsze bezimienna — z wyjątkiem prasy francuskiej — zawsze jednodniowa, zawsze niewdzięczna... Przeciętny dziennikarz produkuje rocznie po kilkanaście tomów, a nawet ten, co produkuje »wodę« żłobi nią nieraz skałę... Skondensowana w wielkie dzieło praca dobrego dziennikarza szturmowałaby do wrót nieśmiertelności...

Życie jest jednak niemiłosiernem, a pracownikowi zostawia dwie tylko pociechy. Jeden się pociesza tem, że jest najważniejszym pośrednikiem ruchu idei, kultury, haseł najświętszych — i widzi w dziennikarstwie zadanie życiowe, drugi pociesza się świadomością, że jest reprezentantem »szóstego mocarstwa«, i poza obowiązkami stara się żyć w sposób godny przedstawiciela mocarstwa...

Co kto woli... *Zoil.*

„Czas“.

Dnia 3 listopada 1848 r., w dzień piątkowy, pojawiła się skromna ćwiartka w formie dużego folio. Był to pierwszy numer »Czasu«, a jako redaktor odpowiedzialny podpisał się na czele Lucyan Siemieński, tłómacz »Odyssei«, znakomity pisarz i krytyk. Krótki program nowego dziennika kończył się słowy, że »celem dla nas jedynym jest pracowanie około odzyskania wolnej i niepodległej Ojczyzny«. Obok niego w skład redakcyi nowego dziennika wchodzili: Konstanty Sobolewski, Jan Kołosowski i Węgierski. Dziennik powstał jako przedsiębiorstwo spółki akcyjnej, której utworzenie przeprowadził ś. p. Adam hr. Potocki. Dzisiaj więc »Czas« jest najstarszym politycznym dziennikiem polskim.

Przed trzema laty obchodził »Czas« półwiekowy jubileusz. Redakcya wydała wtedy książkę



Józef Bandura, metrampaż. Michał Konopiński. K. Nizioł. Wojciech Dąbrowski. Zenon Parvi. Aleksander Karcz. Władysław Prokesch. Henryk Josse.

REDAKCYA „NOWEJ REFORMY".

p. t. Jubileusz »Czasu«, w której zestawiła bardzo ciekawy szereg nazwisk swoich współpracowników w dziale politycznym i literackim. Z polityki wymienieni tam między innymi: Józef Badeni, Kazimierz Chłapowski, Julian Dunajewski, Z. A. Helcel, Józef Dietl, X. Biskup Janiszewski, Julian Klaczko, Jerzy Lubomirski, Paweł Popiel, Adam Potocki, Leon Rzewuski, Eustachy Sanguszko, Józef Szujski, Stanisław Tarnowski, Henryk Wodzicki, Mikołaj Zyblikiewicz. W dziale literackim z pomiędzy szeregu najświetniejszych nazwisk wymienić należy A. E. Odyńca, Wincentego Pola, Henryka Sienkiewicza. Zaznaczyć należy, że »Czas« pierwszy drukował nieśmiertelną trylogią Sienkiewicza. Największe zasługi około rozwoju pisma położyli długoletni jego redaktorowie: Maurycy Mann, Aleksander Szukiewicz, Lucyan Siemieński i Stanisław Koźmian.

Wkrótce po r. 1848 »Czas« rozszerzył swoje szpalty i wychodził następnie w obecnym formacie. Po zniesieniu stempla dziennikarskiego w roku ubiegłym redakcya wprowadziła po raz pierwszy w Krakowie podwójne wydawnictwo dziennika: rano i wieczorem; główny numer wieczorny wychodzi o godzinie wpół do 6 wieczorem, zaś poranny numer o godzinie 6 rano, tak, że po godz. 7 znajduje się w rękach czytelników.

W dzisiejszym numerze »Ilustracyi Polskiej« zamieszczamy obrazek, przedstawiający redakcyę »Czasu« przy robocie głównego numeru dziennika. Od r. 1848 zmieniła się zupełnie technika wydawnicza. «Czas«, idący wciąż za jej postępem, zamienił się w wielki polski organ polityczny z licznymi współpracownikami, fachowymi referentami i korespondentami. Fotografia przedstawia zatem część składu redakcyi. Wydawcą »Czasu« jest p. Michał Chyliński, redaktorem głównego numeru wieczornego p. Rudolf Starzewski, porannego numeru p. Stanisław Kopernicki.

„Głos Narodu".

»Głos Narodu« założony został w październiku 1893 r. przez Józefa Rogosza, wybitnego i zasłużonego publicystę, który dał się już chlubnie poznać w szerokich kołach ze swych prac literackich. Śp. Rogosz przystępował do założenia pisma codziennego z nieznacznym kapitałem, bez wspólników, bez subwencyj, ale z głęboką wiarą w powodzenie wydawnictwa, któremu zakreślił program nowy aktualny i odpowiadający uczuciom i sympatyom szerokich warstw. Dopomagali mu jedynie pp. Edmund Łoziński i Zadurowicz, którzy złożyli konieczną wówczas kaucyę. Powodzenie przewyższyło wszelkie oczekiwania. Redagowany silnie i śmiało, »Głos Narodu« pozyskał odrazu niezwykłą popularność, tak, iż w drugim roku po wydaniu miał już 3.000 prenumeratorów — cyfra

na stosunki galicyjskie wprost imponująca. Koło czytelników rozszerzało się corocznie i w chwili śmierci założyciela bił »Głos Narodu« przeszło 4.000 egzemplarzy — chyba najwięcej ze wszystkich pism galicyjskich.

Pierwsza redakcya mieściła się przy ulicy św. Anny 3, potem przeniosła się na Krupniczą a następnie na Karmelicką. Obecnie ma lokal przy ulicy św. Jana w pięknie odnowionym domu p. Götza Okocimskiego.

Duszą pisma był śp. Rogosz aż do swojej śmierci, ale pod jego kierunkiem pracowało w redakcyi wielu młodych ludzi, którzy przebyli w redakcyi »Głosu Narodu« pierwszą szkołę dziennikarską a dzisiaj zajmują już wybitne stanowiska w literaturze i publicystyce.

Administracyę »Głosu Narodu« prowadzi prawie od jego założenia aż do obecnej chwili p. Jan Strycharski.

»Głos Narodu«, który z małą przerwą wychodził w godzinach porannych, stworzył pierwszy w Galicyi typ dziennika popularnego, taniego i zupełnie niezawisłego, bo opartego wyłącznie na prenumeratorach, i to właśnie zapewniło mu trwały byt i znaczny wpływ.

Fotografia zamieszczona w dzisiejszym numerze przedstawia lokal przy ulicy św. Jana. Przy stoliku redakcyjnym zasiadają oprócz naczelnego redaktora Dra Antoniego Beaupré, Dr Kazimierz Rakowski, dzielny szermierz sprawy polskiej uwięziony obecnie przez Prusaków, p. Józef Jasieński, młody poeta p. Włodz. Perzyński i p. Zembaczyński.

„Nowa Reforma“.

Rycina powyższa przedstawia wnętrze i skład redakcyi »Nowej Reformy« w chwili, gdy ma być ważna sprawa rozstrzygniętą. Godzina 12 w południe, właśnie nadszedł list »express« z Wiednia zawierający »in extenso« wielką mowę w parlamencie posła Adama Doboszyńskiego, którą koniecznie do druku oddać należy. A tu dziennik »zabity« musiałyby artykuły »wylatywać« — numer gotów się spóźnić. Przywołany do narady p. Józef Bandura *metteur en page,* któremu naczelny redaktor p. Michał Konopiński tłomaczy, że artykuł nadesłany »musi iść« zapewnia, że skrypt nie może być złożony na czas, bo w zecerni nie ma »wolnych rąk«. Lecz przekonany uległ. Jak musi to musi, wyleci zatem z dziennika artykuł »Chmury na Bałkanie«, a może i korespondencya z Madrytu, bo wielka mowa w parlamencie posła Dr Doboszyńskiego zbyt jest ważną, aby jej nie drukować kosztem spraw bałkańskich. Tego samego zdania jest p. Władysław Prokesch recenzent muzyczny i teatralny, tę samą opinię podziela p. Wojciech Dąbrowski, referent spraw krajowych, tak sądzą wszyscy współpracownicy redakcyi, a więc



Englisch. Kaczanowski. Ignacy Daszyński, poseł do Rady Państwa. S. Hacker.

REDAKCYA „NAPRZODU“.

p. Aleksander Karcz, naczelny kronikarz i sprawozdawca z posiedzeń parlamentu *via* telefon, dalej p. Henryk Josse, niezrównany *Grabiec* i referent spraw politycznych wszystkich państw na świecie, p. Zenon Parvi, najlepszy reporter między dramaturgami, a najlepszy dramaturg między reporterami, zwany w Redakcyi »Robespierrem«, w końcu p. Kazim. Nizioł, nowy współpracownik, w wolnych chwilach bawiący Redakcyę swemi wspaniałemi anegdotami z życia uniwersyteckiego i wojskowego, słowem wszyscy jednomyślnie podzielają zdanie swego szefa, że artykuł Dra Doboszyńskiego powinien znaleźć się dziś jeszcze w dzienniku. Nawet woźny redakcyjny p. Wojciech Drozdowski, właśnie układający gazety na stole widocznie jest tego samego zdania. Jeżeli chodzi o skwalifikowanie i scharakteryzowanie przedstawionych powyżej członków i współpracowników »Nowej Reformy« to naczelny redaktor p. Konopiński uosabia doświadczenie, takt i wytrawność publicystyczną, p. Prokesch znajomość sceny i estrady, p. Dąbrowski temperament i skrystalizowany w artykułach swoich kierunek polityczny, p. Karcz rutynę i elegancyą prowadzącego kronikę, p. Josse dowcip, p. Parvi obowiązkowość i wierność a ścisłość sprawozdawcy z miasta. Tak się przedstawia skład stałych pracowników dziennika »Nowej Reformy«, pisma wychodzącego lat 20 w Krakowie, które wywieszonemu hasłu na sztandarze krzewienia idei demokratycznych, polskich ani razu się nie sprzeniewierzyła.

„Naprzód“.

»Naprzód«, organ polskiej partyi socyalno-demokratycznej; wychodzi codziennie od Kwietnia 1900 r., tj. po zniesieniu stempla dziennikarskiego. Poprzednio wychodził jako tygodnik, a jeszcze dawniej, przed zniesieniem kaucyi dziennikarskiej jako dwutygodnik. Dnia 1 stycznia 1902 r. upływa 10 lat od chwili, gdy się ukazał pierwszy numer »Naprzodu«, który wywołał swego czasu w konserwatywnym Krakowie tyle wrzawy. Pierwszym redaktorem owego dwutygodnika był p. Jan Englisch, który zdołał około siebie skupić grono inteligentnej młodzieży. Wielu z tych dawnych współpracowników dawnego »Naprzodu« zmieniło już swe dawne przekonania społeczne. Wielu znajduje się obecnie na stanowiskach, które nie dadzą się pogodzić z dawnemi rojeniami młodzieńczemi.

Ale »Naprzód« wychodził ciągle, rósł wraz ze stronnictwem, które reprezentuje i obecnie jest organem codziennym. Od przyszłego roku nastąpić ma rozszerzenie formatu i treści. Obecnie wychodzi on w nakładzie około 3000 egz. Cyfra to znaczna, skoro się zważy, że organ robotniczy ma do zwalczenia o wiele więcej przeciwności, niż prasa innych obozów. Samych konfiskat było od 1 Kwietnia 1900 r. do dnia dzisiejszego 127. Jest to najwyższy rekord, jaki zdołano uzyskać w Galicyi i w Austryi.

»Naprzód« zdołał skupić w swojej redakcyi młode siły dziennikarskie, które z całą energią i zapałem poświęcają wszystkie swoje siły propagowaniu zasad partyi piórem i słowem. W skład redakcyi wchodzą obecnie: poseł Ignacy Daszyński (o ile jest w Krakowie), Franciszek Czaki, Samuel Haecker, Kazimierz Kaczanowski i wielu cichych lub przygodnych współpracowników.

Z naszego albumu.

Z SONETÓW.

Wieczorem.

Z tęczy i ze krwi chmury łunę plotą,
Niebo się krasi bajecznemi kwiaty,
Płyną obłoczne purpury, granaty,
Fiolety, wstęgą przetykane złotą.

I cała ziemia zdaje się pieszczotą,
Utkana z kwiatów słońca i uśmiechu,
I cała ziemia zdaje się bez grzechu
Jedną olbrzymią miłosną tęsknotą.

Więc wśród tych blasków co się złotem jarzą
Ramiona w przestrzeń gdzieś szlą uścisk miękki,
I na pierś czyjąś chce się upaść twarzą,

I otoczoną być kochaną ręką,
I z ust stęsknionych wszystkie przelać skargi
W czyjeś kochane, czyjeś słodkie wargi!...

Supranówka. *Kazimiera Zawistowska.*

Płynie pieśń tęskna...

Płynie pieśń tęskna przez rozwarte okno
I na park bieży w białe mgły spowiiy,
Gdzie drzewa szare w deszczu strugach mokną,
Upiorów sennych huf, skłębiony, zbity.

Płynie pieśń tęskna na kształt fali ciepłej
I zwolna parku drzewa ciche budzi:
Sen ich o wiośnie w mgłach jesiennych skrzepły
Bliskich zmartwychwstań obietnicą łudzi.

Płynie pieśń tęskna w alej mrok głęboki...
Coś drży, coś tęskni, coś ku życiu rwie się,
Liściom więdnącym nowe snią się soki,
Nowy maj w słońca przejasnym bezkresie.

Płynie pieśń tęskna, och jak dobrze znana,
Pieśń z lat minionych szczęścia i miłości!...
A dusza moja budzi się stargana —
I liściom mrącym jesienią zazdrości.

Lwów. *Adam Łada.*

Upojenie.

Drżą kwiatów srebrne okiście
na wietrze...
W miesięcznym blasku — wciąż bledsze
drżą liście...
Wiatr na rozgranej drzew lirze
pieśń gędzie —
Budząc w jeziora szafirze
łabędzie...
Upojony powiew rozchwiewa
traw plusze —
(Dusza się moja przelewa
w Twą duszę!..)

Kraków. *Jan Pietrzycki.*

FAUN.

Świt... Rosa w kwiatach rozperla się blada...
W gąszczu pod drzewem Faun zdrzemnął się stary...
Dąb nad nim długie rozwiesił konary,
Deszcz liści zwiędłych na głowę mu spada...

Wtem przez mgły ranne i leśne opary
Skrzydlatych elfów swawolna gromada
Po mokrych trawach tajemnie się skrada,
Gdzie dąb w pomroku kołysze się szary...

I jęła strącać w pustaczej zabawie
Żołędzi deszcze na śpiącego w trawie...
Faun się przebudził, podźwignął się z ziemi,

Chwycił głaz w dłonie i z okropnym gniewem
Cisnął w gałęzie... Na kwiatach pod drzewem
Jęczą elfiki z skrzydły złamanemi...

Lwów. *Henryk Zbierzchowski.*

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z Pamiętnika panny Hali — jej „Pa“ i „Ma“

Ciąg dalszy.

Ale pan Henryk nie umiałby napisać takiego poematu — ja go bardzo k..... ale cóż, jest zaledwie studentem piątego kursu medycyny, no i nigdy, ani razu, nie powiedział mi, że jestem śliczna! — ani razu, i to mój narzeczony, to coś okropnego! — A pan Hyacynt to mi ciągle mówi o tem, a przecież pierwszy raz mnie widział! —

Strasznie przyjemnie było mi tego słuchać — strasznie.

Jak wrócę do kraju, to i pan Henryk musi mi to powiedzieć...

Przejrzałam się teraz... naprawdę ale ja jestem ładna, chociaż to lustro hotelowe jest okropne, trochę jestem tylko za szczupła..

Ale pan Hyacynt powiedział, że jestem, jak lilia górska w noc marcową!...

To symboliczne, rozumiem. —

Mój Boże, żebym ja to tak umiała mówić ślicznie!...

Otóż, byłabym zapomniała, przyszli wszyscy razem z ciocią.

Po herbacie, „Pa“ i „Ma“ z ciocią poszli do drugiego pokoju — A ja, pan Hyacynt, pan Adalbert i kuzynek Jaś, zostaliśmy sami.

Taka jestem wzruszona, że jeszcze nie mogę się uspokoić... bo cały czas p. Hyacynt rozmawiał tylko ze mną.. a tak patrzył... tak cudnie mówił i tak mnie c... ale tylko w dłonie, że aż mnie pali jeszcze... Nie śmiałam mu zabronić... bo tak mówił wtedy o nieśmiertelności .. o sztuce... o nagim wszechbycie... o czuciach zielonych kamieni... o białym koniu i o słońcu zgniłem — aż mi się w głowie mąciło.

Nie, chyba o tem nie napiszę p. Henrykowi; nie zrozumiałby i jeszczeby się śmiał ze mnie.

I mówił jeszcze, że już od dzieciństwa szuka absolutu — Doprawdy, ale nie śmiałam się pytać, co to takiego?

Ale... p. Hyacynt i p. Adalbert, nie są z tych, co to mówią Przybyszewskiemu „Stachu“ — Oni są jego przeciwnikami! —

Pan Hyacynt powiada, że Przybyszewski, to nie dekadent, a tylko „fifilister“, a zaledwie Jan Chrzciciel jego i pana Adalberta!...

Mają założyć pismo, które drukować się będzie na czarnym papierze zielonemi literami i tam dopiero mają wypowiedzieć wojnę całemu światu — i, Przybyszewskiemu, a nawet i Miriam jest „fifilistrem“ — Miriam! nie, nie słyszałam nigdy o takiej literatce! —

I potem napisał mi ten poemat:

„Na ulicach miasta leży śnieg, a deszcz tak pada, pada, pada...

A ja leżę — na smutnej jak moja dusza, kanapie leżę —

Na fioletowej kanapie leżę, a deszcz tak pada, pada, pada“...

* * *

„Na śnieżnych absolutu polach kwitną orchidee...?

A ona przysłała mi tuzin skarpetek i srebrną łyżeczkę do kawy...

A potem umarła!!!...? Na śniegach kwitną orchidee... a ona umarła —

* * *

„Buty policyanta skrzypią pod oknami szpitala waryatów,

A butelka przepotężnej gliceryny stoi pod fuksyami!...

I tylko tuzin skarpetek mi przysłała i srebrną łyżeczkę do kawy,

A potem umarła“ —

* * *

„Ona tak lubiła kawę, czytała Altenberga, używała coldcreamu,

Ubierała się w fioletowe suknie, lubiła zapach przypalonych kaloszy,

I zimne mięso z sosem tatarskim —

A potem umarła“.

* * *

„O! O! O!

Dusza moja zmęczona jak biała bita śmietana istnienia.

Serce moje przegryzły obłędne grynszpany rozpaczy —

Jakże sieroca i smutna jest ta srebrna łyżeczka do kawy? —

Tak smutna, jak książęce buty na śmietnisku, — jak to okno ślepe na nieśmiertelność;

I jak ta pusta butelka, i jak ta umarła,

I jak ten policyant, którego buty skrzypią pod oknami szpitala waryatów“ —

* * *

„Na ulicach śnieg leży, deszcz pada, słowiki śpiewają,

Miedziane trąby huczą w mniszek klasztorze... a z daleka... zdaleka...

Zgrzyt ostry, kos na łąkach... tam na łąkach prabytu...

Tam gdzie chodzą nagie wszechbyty i płyną strugi przepotężnej gliceryny, pod fuksyami... — absolutu!“...

. . . .

Naprawdę, ale nawet w „Kuryerku“ nigdy śliczniejszego kawałka nie czytałam.

Kuzynek Jaś, pododawał tylko znaki pisarskie, bo pan Hyacynt, musiał w natchnieniu zapomnieć.

Poszliśmy razem do teatru.

Teatr śliczny, zapomniałam tylko, co grali, bo było tyle ludzi!...

Wszystkie loże zajęte.

Ale naprawdę, u nas w Warszawie panie szykowniej się ubierają, no i są znacznie piękniejsze... tylko, że u nas niema tylu hrabiów!

Kuzynek i pan Hyacynt pokazywali mi ich. I pół teatru było samych hrabiów, hrabin i hrabianek! a brzydkie jakby naumyślnie! —

Przecież hrabianki, to już powinny być przystojne...

A potem pokazali mi lożę, gdzie siedział Przybyszewski, i ci co mu mówią „Stachu“.

Nie myślałam żeby tutaj, w takiej dziurze jak Kraków, aż tyle było hrabiów?...

„Pa“ powiedział, że to garsoni po knajpach i hotelach, tylu fabrykują hrabiów, że Galicya ma ich nawet na eksport!...

Nie, nie mogę zrozumieć tego...

Taka już jestem senna...

Ale dla czego mu dała tuzin tych sk... i potem umarła?...

To musi być głęboki symbol...

. . . .

„Pa“ powrócił ogromnie wesoły... może, że był z kuzynkiem i z temi panami, że to chociaż dekadenci, ale porządne chłopaki z przyszłością!...

Lubię to „chociaż“! — „Pa“ będzie oceniał dekadentów!... także. —

30 marca, rano.

Już wieczorem jedziemy do Wiednia.

Jestem tylko ze Stokrotkami bo „Pa“ studyuje tutejsze urządzenia, a „Ma“ poszła do Kapucynów; kupię kropli, bo ta homeopatya, to Stokrotkom jakoś nie pomaga.

Muszę pisać do pana Henryka, ale tak mi się nie chce i... zresztą, to nie tak łatwo... na brudno to jeszcze jako tako... ale przepisywanie na czysto, to taka męka, że aż mnie głowa boli.

Naprawdę, że nierozumiem po co wynaleźli te całą głupią ortografię i znaki przystankowe.

Żeby się tylko ludzie męczyli.

Dobrze pan Hyacynt mówił, że to jeden z najstarszych przesądów...

Chciałabym bardzo widzieć go jeszcze i słuchać...

. . . .

O zmroku. — Byłam w Ujeżdżalni, na zgromadzeniu soc...!

„Pa“ przyszedł z kuzynkiem i musieliśmy iść, chociaż „Ma“ się oparła i została, bo powiada, że jeśli was kto zobaczy... i potem stanie sie jakie nieszczęście — to niechże ma was kto bronić!...

Zimno mi się zrobiło... Bo jabym w więzieniu nie wytrzymała ani godziny i zaraz bym umarła... z samego wstydu!

Ale „Pa“ z kuzynkiem śmiali się, a ja byłam taka ciekawa zobaczyć tych soc... bom jeszcze ani jednego w życiu nie widziała.

Już było pełno w tej ujeżdżalni.

Jakiś pan z dużemi wąsami mówił na estradzie — ale niemożna się było tam docisnąć ani nic wyraźnie usłyszeć, bo tak wrzeszczeli, co powiedział: Hańba! — krzyczeli; Rząd! Hańba: władza, Hańba! praca, Hańba! Stańczycy, Hańba!

Tak się bałam, myślałam, że w tej chwili wszystkich nas wyprowadzą...

Ale wyszliśmy zaraz, bo ci soc... tak jakoś końmi pachną, że okropnie mnie głowa rozbolała!...

Muszę się zaraz pakować.

Żeby to jak najprędzej zobaczyć te Włochy, tak mnie już nudzi Kraków!

Zalepię kartki i zaraz oddam „Pa“ bo chce pisać, a taki jakiś zły, że aż się boję mówić do niego.

. . . .

Ale musiałam dać panu Hyacyntowi chusteczkę na pamiątkę... zabrał i niechciał oddać... i tak prosił... tak...

Zaraz, przed odjazdem jeszcze, muszę napisać do pana Henryka, bo on tam biedactwo musi dopiero tęsknić!...

Dopisek »Pa«. — Wybrali mnie na prezesa.

Skromne są moje zasługi, ale nie chwalę się, ja Jan Gwalbert, służę jak mogę temu biednemu, ciemnemu społeczeństwu... i bez nagrody bo prezesostwo jest honorowe. Prawda, mam w tym interesie jakiś kapitalik, ale te 15% jakie daje, czemże jest wobec korzyści jakie przynosi ogółowi?...

Tani lombard dla ubogich, to instytucya użyteczności społecznej!...

A ja tej instytucyi byłem inicyatorem, ja Jan Gwalbert.

Ale dość, nie wypada pisać o skromnych swoich zasługach!...

. . . .

Całe trzy dni byłem w Krakowie, oglądałem pilnie, przypatrywałem się sumiennie, badałem wszystko gorliwie i sądzę szczerze, że dobrze poznałem, że mam już prawo wygłosić swoje zdanie — tak, czy nie to z czystem sumieniem dla pożytku społecznego.

I trzymałem się ściśle notatki radcy Malinowskiego.

Hawełka, — no wprost nadzwyczajny, czułem się tam jak u siebie w domu, i chłopcy nie biorą napiwków! — To jest bardzo moralne, to trzeba wprowadzić u nas w Warszawie, to jest europejskie! —

C. d. n.



Tadeusz Romanowicz,
poseł na Sejm i do Rady Państwa.



Dr Tadeusz Rutowski,
poseł na Sejm.



Dr Witold Lewicki.

Naczelni redaktorowie „Słowa Polskiego".

NOTATKA. W niniejszym numerze rozpoczęliśmy szereg sylwetek redakcyj wielkich dzienników polskich. Zamieściliśmy obrazy redakcyj wszystkich dzienników krakowskich, w następnych numerach naszego pisma skierujemy aparat fotograficzny na redakcye pism lwowskich i warszawskich, a specyalnie będziemy się starali upamiętnić redakcye pism poznańskich, tych prawdziwych posterunków narodowych w walce z bezprawiem i gwałtem krzyżackim.

W kleszczach „sprawiedliwości" pruskiej.

Dr Kazimierz Rakowski w więzieniu i jego przygody więzienne.

Przedruk tego artykułu — w całości lub częściowo — dozwolony jedynie z podaniem źródła i za przesłaniem nam honoraryum w kwocie 6 halerzy od wiersza, które, w porozumieniu z Drem Rakowskim, przeznaczymy na cel publiczny. — Przedruk bezprawny pociągnie za sobą dochodzenie sądowe.

Szczęśliwy, a niespodziewany traf, jaki się zdarza bodaj raz na sto lat, dał możność korespondentowi naszego pisma długą chwilę rozmawiać z uwięzionym w Poznaniu publicystą polskim, p. Drem Kazimierzem Rakowskim, który od miesiąca przeszło przebywa w najściślejszem odosobnieniu w więzieniu śledczem. Korespondent nasz spisał niezwłocznie rozmowę po widzeniu się z więźniem; naturalnie nie jesteśmy w możności podania bliższych szczegółów, w jaki sposób ta rozmowa była prowadzona, wiadomo bowiem, jak zazdrośnie strzeże oko prawa każdego więźnia, przebywającego w więzieniu śledczem, od zetknięcia się ze światem zewnętrznym.

»Niech mi pan opowie detalicznie najdrobniejsze szczegóły całego wypadku i swego pobytu w więzieniu«, zacząłem rozmowę z Drem K. Rakowskim.

Więzień, na którego jedynie bledszej, niż zwykle, cerze znać było pobyt w więzieniu, odpowiedział:

Z całą przyjemnością. — Od kilku tygodni już nie mówiłem z nikim po polsku i chętnie wywnętrzę się przed panem.

Jak panu zapewne wiadomo, przyjaciel mój, wydawca »Pracy«, p. Marcin Biedermann, chcąc mi dać możność zajęcia się sprawą górnego Ślązka w szerokim zakresie, postanowił wydawać od Nowego Roku pismo codzienne w Katowicach p. t. »Górnoślązak«. Od dawna już toczyła się między nami w tej sprawie korespondencya, gdy w sobotę dnia 12 października otrzymałem od niego wieczorem w Krakowie lakoniczną depeszę: »Jutro Wrocław południowym pociągiem«.

Po przeczytaniu tej depeszy byłem nieco niezadowolony, że tak nieostrożnie pod moim adresem wysłał taką wiadomość, ale skoro mnie wzywał, więc widocznie sprawa nagliła i nie namyślając się dłużej, wyjechałem w niedzielę rano do Wrocławia. Stanąłem na miejscu około 2 godz.; umówionym poprzednio stałym punktem zbornym była restauracya Kempińskiego przy Ohlauerstrasse. W drodze spotkałem pana X., który, żywy biorąc udział w wydawnictwie »Pracy«, w tym samym, co i ja, celu na naradę został zawezwany. Dowiedziałem się od niego, że górnoślązka prasa polska już zawarła pakt z niemieckiem centrum przeciwko postawieniu posłów polskich — sprawa więc istotnie nagliła. Oprócz tej sprawy zasadniczej, trzeba było zatem z Biedermannem omówić

i sprawę redakcyi nowego pisma. Przyszły redaktor »Górnoślązaka« też był we Wrocławiu i mógł wziąć udział w konferencyi. Konferencya ta miała zarówno dać ostateczne polityczne dyrektywy, jak i sprawę redakcyi uregulować.

P. X., choć czynny współpracownik wydawnictwa »Pracy«, nie może w Poznaniu widywać się z p. Biedermannem.

Idziemy więc do winiarni Kempińskiego — ale p. Biedermannna niema. Co robić? Zasiedliśmy do obiadu w nadziei, że może Marcin jeszcze nadejdzie. Klątem, jak stary huzar, bo nie miałem pieniędzy wcale na zbyciu i zamyślałem już o powrocie do Krakowa, gdy przy bufecie powiedziano nam, że Biedermann telefonował z Poznania, aby nam dać znać, że przybędzie dopiero o 5 po południu.

O piątej więc byliśmy na stacyi. Pociąg zajeżdża — upatruję mego Marcinka, widzę go w oknie, uchylam kapelusza, ale on robi znaczący ruch ręką, abym się usunął i nie witał z nim wcale. Chowam się więc w tłumie, a pan X. podąża na spotkanie Marcina. Gdy są już obaj na ulicy i siadają do dorożki, wskakuję i ja — i jedziemy do jakiegoś pierwszorzędnego hotelu. Tam Marcin opowiedział przyczynę swego opóźnienia.

Od chwili wysłania do mnie telegramu zauważył, że był śledzony przez kilku cywilnych policyantów. W niedzielę od samego rana stali wprost jego domu tak, że chcąc w południe wyjechać do Wrocławia, przekonał się, że niepodobieństwem jest niepostrzeżenie wyjść na dworzec. Zmienił więc godzinę odjazdu, sądząc, że uwolni się od kontroli. Ale w chwili wyjazdu na peronie poznańskim zauważył jednakowoż detektywa policyjnego, który w ostatniej chwili wsiadł do jego wagonu i z oczu go nie spuszczał. Dopiero na dworcu wrocławskim stracił detektyw ślad.

Trochę zaniepokoiło mnie to opowiadanie, ale opiekę tę detektywów tłómaczyłem sobie ich chęcią wyśledzenia nietyle mnie, ile pana X. Pomówiwszy więc trochę o interesie, a raczej o ogólnym kierunku politycznym, który reprezentuje »Praca«, a który musiałby być miarodawczym dla nowego pisma, poszliśmy do teatru na jakąś francuską farsę, a potem na kolacyę do słynnej winiarni Hansena. Ponieważ pan X chciał nazajutrz rano jechać do Poznania, przy kolacyi więc, omówiliśmy bliższe warunki wydawania pisma. Przyszły redaktor pisma na poddanie się pod polityczną dyrektywę, naturalnie w ramach szeroko zakreślonej samodzielności, się zgodził, kwestyę pieniężną załatwiło się w czterech słowach, ja miałem zaś dostać zakulisową polityczną robotę przedwyborczą do ręki. Marcin chciał jechać razem z panem X. do Poznania, ale raz, że było późno i on zmęczony, a powtóre chcieliśmy we dwójkę swobodnie pomówić o tej sprawie, więc pożegnaliśmy pana X., redaktora, życząc mu szczęśliwej podróży, a sami udaliśmy się do hotelu. W jednym i w drugim nie było wolnego pokoju — dopiero bodaj coś w trzecim udało się nam dostać pomieszczenie. Wpisaliśmy się do książki, jako dwaj bracia Biedermann i już leżąc w łóżkach, omówiliśmy rozmaite szczegóły całej sprawy. Byłem zadowolony, że przybyłem do Wrocławia, bez moich informacyj bowiem byłaby sprawa pisma może stanęła inaczej.

Nazajutrz, w poniedziałek obudziliśmy się coś około 11 przedpołudniem. Gdym się ubierał, a Marcin był w kąpieli, z uchylonego okna przyszła mi chętka wyjrzeć na ulicę. Patrzę, i oczom swym nie wierzę — naprzeciwko naszego hotelu, naszych okien wprost — winiarnia Kempińskiego. Myślę więc sobie: ponieważ pora obiadowa się zbliża, więc dziś może będą chcieli agenci zastawić pułapkę na nas. I istotnie, wpatrując się bacznie, spostrzegam przy owej już do bramy Kempińskiego dwóch ludzi, których każdy, kto raz w życiu widział cywilnego policyanta, musiałby rozpoznać jako agentów.

Ciarki mnie przeszły — w tej chwili jednak nie chcąc zwrócić uwagi, nie mogłem się cofnąć z okna, więc wyglądałem najspokojniej dalej, choć mi się ci ludzie przypatrywali.

W tej chwili wszedł do pokoju Marcin. Zatrzymałem go na środku pokoju, poczem ostrożnie podprowadziłem do okna, aby mu 'z za firanki pokazać ajentów. Lecz już ich nie było. Miałem pewne obawy, że może poszli po komisarza, aby mnie aresztować (byłem bowiem wydalony z Prus i pobyt mi jest wzbroniony) — czemprędzej więc opuściłem hotel, powiedziawszy Marcinowi, że' będę czekał na niego w winiarni Hansena na Oławskiej ulicy.

Z pewnem drżeniem wychodziłem z hotelu, liczyłem jednak na to, że gdy — nie znając mnie osobiście — zobaczą mnie samego, nie będą śmieli mnie zaczepić. Lecz obawy były płonne — nie było nikogo. Skręciłem kilkakrotnie w boczne uliczki, zawracałem się znowu, krótki kawałek drogi przejechałem tramwayem, wreszcie widząc, że absolutnie nie jestem śledzony, wszedłem do Hansena. Pół godziny przeszło, zanim się zjawił Marcin. Pokazało się, że go śledzili. Widocznie mnie wzięli za kogo innego i puścili luzem, do niego zaś przyczepili się i doprowadzili do Hansena. Do Hansena prowadzi z bramy małe niepostrzeżone wejście. Wchodząc otóż w bramę, Marcin nagle stanął i zaczął się przyglądać fotografiom tam rozwieszonym, przez co zmusił agenta, że ten go minął i chcąc nie chcąc szedł na podwórze. Tymczasem Marcin przez niepozorne małe drzwiczki w bramie zniknął mu z oczu. Ajent zapewne czemprędzej zawrócił na ulicę, sądząc że tam jego zwierzyna umknęła, Marcin zaś spokojnie siedział ze mną.

Zjedliśmy ze smakiem obiad. Fakt faktem, że go śledzili, — ale też fakt, że mnie samego puścili bezpiecznie. Za Marcinem nieraz włóczą się po Poznaniu agenci, węsząc niewiedzieć co, więc ta cała afera zbytnio mnie nie niepokoiła. Po obiedzie jednak trzeba było wyjść. »Jeśli agenci czekają w bramie, myślałem, i jeśli się Biedermann nie mylił, to mnie mogą wziąść, gdy wyjdziemy razem. Gdy wyjdę pierwszy, mogą mnie poznać, jako tego samego który wyglądał z okna hotelu. To już będzie poszlaka«. Więc wyprawiłem Marcina samego. Miałem po chwili wyjść sam, gdy agenci za nim pójdą, potem wziąść dorożkę i jechać powoli patrząc na prawą stronę ulicy. Gdy Marcin będzie bez ajentów, wtedy wsiędzie w moją dorożkę i pojedziemy.

Tak się też stało.

Pokazało się, że Marcin istotnie zmylił agentów i że był sam. Pojechaliśmy dorożką na spacer. Trwało to do wieczora. Nie mało nam przyjemności sprawiło to, żeśmy tak za nos wodzili agentów. Gdy już było ciemno, pojechaliśmy na jakiś koncert, wieczorem zaś mieliśmy odjechać, on do Poznania, ja do Krakowa. Lecz po koncercie na kolacyi przy dobrem winie i miłej pogawędce, zeszedł nam czas niepostrzeżenie. Wyjedziemy jutro rano, rzekł Marcin. »Zgoda« odrzekłem — i pozostaliśmy tak coś do drugiej w nocy w owej winiarni, układając plany górnośląskie.

Trzeba było wreszcie iść spać. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że agenci chcieli wyśledzić pana X., — a zresztą cóż za cel był mnie schwytać? W rezultacie mogło mi grozić zamknięcie do aresztu i karę jakich 20 mrk. za przekroczenie granicy. Jednak do hotelu tego samego nie chciałem wracać, był zresztą za drogi. Szukamy więc innego. Doprawdy szczególny pech, — od drugiej do czwartej rano łaziliśmy po wszystkich ulicach szukając wolnego pokoju w hotelu — bez skutku: wszystko zajęte.

Trudna rada — trzeba było iść do hotelu »Zum Weissen Adler« gdzieśmy nocowali poprzednio. Nie bardzo wierzę w przeczucia, ale fakt, że gdym brał za klamkę, rzekłem do Marcina — »aby nas tylko rano o jakiej siódmej nie zbudziła policya«. Pytamy czy jest jeszcze wolny nasz pokój wczorajszy. Spostrzegłem na twarzy portyera jakby jakiś namysł, czy wahanie się. Drugi raz przeczucie mi mówiło — »ten

człowiek coś wie, oni tu pewnie byli«. — Ale on odrzekł po chwili: jest wolny.

Poszliśmy więc na górę.

Nazajutrz — był to wtorek 15 października — obudziwszy się po godz. 10, Marcin wyszedł na korytarz, ja w najgrubszym negliżu chodziłem po pokoju. Wtem ktoś puka i nie czekając na odpowiedź wsuwają się dwie głowy: widzę — policya.

Przyznam się, nie straciłem zimnej krwi, jakkolwiek wyjścia nie było.

»Jestem komisarz kryminalny Gessmann« wszedł jeden z tych panów kłaniając się, i okazał mi blaszkę legitymacyjną. — »Mamy wątpliwość, czy pan jest tym, za kogo się pan tu w hotelu podaje. Proszę o legitymacyę«.

Mówił to tonem jakimś dziwnie przejętym, głosem zdyszanym, urywanym, — zdawało mi się, jak gdyby się obawiał, że skoczę mu do gardła. To mnie zastanowiło, że takie głupstwo, jakie mi mogło grozić, bierze tak seryo ten człowiek.

Położenie było głupie. W tej chwili stanęła mi przed oczyma wyraźnie i cała lekkomyślność mego postępowania wpisaniem nazwiska nieistniejącego brata Marcina, i nieostrożność gorsza jeszcze — powrót do tego samego hotelu, który wczoraj był obstawiony wartą.

»Kim pan jesteś?« pyta jeszcze raz komisarz.

Odpowiadam mu, że muszę zaczekać aż przyjdzie mój brat, Marcin. Bez niego nic nie powiem.

Tymczasem się ubieram, powoli, myśląc nad tem co robić. Byłbym im powiedział, kim jestem, bez wszystkiego, ale znając Marcina, przypuszczałem, iż jakiś tam może fortel wynajdzie, którybym ja nieopatrznie mógł zepsuć wymienieniem nazwiska.

Wreszcie wchodzi Marcin. Nigdy w życiu nie zapomnę tej dziko zdziwionej miny, którą zrobił, zobaczywszy tych gości w swym pokoju.

Zamieniliśmy słów parę ze sobą — ostatecznie i on uznał, że niema co robić, tylko powiedzieć nazwisko. Zresztą namawiał do tego komisarz, zwracając uwagę, że fałszywe legitymowanie się wobec niego mogłoby osobną sprawę karną ściągnąć na mnie. Zapewne. I pożytku by mi tyle nie przyniosło.

Więc wyjmuję kartę wizytową i daję komisarzowi: »Czy t e g o panowie szukają?« pytam.

»Tak« mówi komisarz.

»No — to jestem do usług«.

»Pojedziemy do prezydyum policyjnego w celu spisania protokółu«, powiada komisarz, »a potem zaraz do sędziego«.

Przy tej sposobności zaaresztowali Marcinowi kufer, jako przypuszczalną moją własność. W kufrze były Marcina gazety, trochę broszur śląskich, które mi miał dać, i trochę redakcyjnej korespondencyi. Jednem słowem bzdurstwa. Oni jednak myśleli, że złapali Bóg wie co, i uczepili się tego kufra bardziej niż mnie.

Pojechaliśmy wszyscy do biura prezydyum policyi.

Tam dopiero przy spisywaniu protokułu spostrzegłem, że cała formalność obraca się około jakiegoś listu gończego, wydanego przez prokuratoryę poznańską. Spojrzałem na datę: wydany był jakoś w marcu 1901, właśnie w porze najgorszych procesów prasowych. Domyśliłem się, że chcą mi zrobić wielką sprawę prasową i, słowo daję, miło mi na sercu wtedy nie było, gdyż jakkolwiek absolutnie żadnej winy żaden sąd udowodnić mi nie może, — miałem perspektywę śledztwa, więzienia i t. d. Wiedziałem, że to potrwa czas dłuższy.

Przy wyjściu z gmachu policyi pożegnałem się z Marcinem On powrócił do Poznania, ja z agentami dorożką pojechałem do sędziego. Agent zakomenderował: *Nach dem Gefängniss, Grapesstr* — i pojechaliśmy. Była godzina może pierwsza popołudniu. Nie miałem ani kropli wody w ustach od dnia poprzedniego. Prosiłem agentów, aby pozwolili mi po drodze wypić kawę, jako śniadanie — napotkałem kategoryczną odmowę.

Po drodze w dorożce rozmawiałem dużo z komisarzem, aby z niego wyciągnąć informacyi, ile się da — ale on sam niewiele wiedział, żem jednak robił wobec niego dobroduszną minę i nie uraziłem go niczem osobiście, zaczął mi się tłomaczyć ze swego postępowania:

»To jest mój obowiązek — powiada — i chociaż mi było przykro, musiałem jednak aresztować pana. Pan spełnia swój obowiązek, ja spełniam mój. Chodzi tylko o to, aby z i d e a l n e j s t r o n y zapatrywać się na to, i nie upatrywać zaraz w każdym urzędniku policyi — no, nie powiem«.

Idealnie nastrojony ten gentleman spojrzał na mnie, jak gdyby chciał się przekonać czy ten jego idealizm nie wywoła oznak rozrzewnienia na mej twarzy. Gdyby nie smutne okoliczności, byłbym mu się w nos roześmiał, ale wobec poważniejszych myśli uśmiech znikł z twarzy.

Zajechaliśmy przed wielki czarny, ponury gmach więzienny. Sędzia śledczy urzędował w biurze swym w gmachu więziennym. Poszliśmy najpierw do kancelaryi sądowej. Tam mi odebrano wszystko com miał przy sobie: pieniądze, zegarek, maleńki notesik, składane nożyczki, jakieś dwie lub trzy luźne kartki papieru, pugilares z legitymacyą moją, jako członka Towarzystwa Dziennikarzy, parasol i kalosze. Chusteczki do nosa na szczęście mi nie odebrano. Tamże spisano nowy protokół na mocy ogłoszenia zrobionego przez prokuratoryę poznańską w specyalnem fachowem czasopiśmie policyjnem *Deutsches Fahndungsblatt*. Urzędnikowi sądowemu, który pisał protokół przyjęcia mnie do zakładu więziennego, spojrzałem przez ramię na to ciekawe pismo i dokładnie widziałem tytuł i kilka innych ogłoszeń. Obok mego nazwiska, zdaje mi się, nie ręczę, widziałem nazwisko pewnego znanego publicysty warszawskiego, który zapewne w jakiemś piśmie warszawskiem napisał artykuł przeciw Prusom i był o tyle nieostrożny, że położył swe inicyały. Ładne rzeczy, jeśli wszyscy polscy publicyści tu są zapisani tak jak ja, i jeśli przy sposobności, pana X. z Warszawy, lub pana Z. z Krakowa w ten sam sposób jak mnie zechcą ci panowie obznajmiać z tajnikami policyjnej procedury pruskiej!

Wytężyłem wzrok aby pochwycić kilka nazwisk z tego interesującego pisma — ale urzędnik spostrzegł to i odwrócił się nagle ku mnie. Chcąc obrócić wszystko w żart, rzekłem z uśmiechem: »Czy się nie można gdzie zaabonować na to pismo? Tu ciekawe historye — zdaje mi się, że moi znajomi też są zapisani!«

Taka doza czelności zdziwiła tego pana. Zamknął zeszyt, zawierający pisma, mruknął coś i wzrokiem dał poznać komisarzom, że mogą mnie dalej prowadzić.

Sędzia śledczy, człowiek miłej powierzchowności, obszedł się ze mną grzecznie, mych stróżów oddalił i zajął się pierwszymi przesłuchami. Podałem swój wiek, pochodzenie, oraz fakt, że nie poczuwam się do żadnej winy. Zapisał to z powagą człowieka, który nie ma żadnej wątpliwości wobec tego, co mu mówią oskarżeni, a jego pomocnik otworzył drzwi, klasnął w dłonie i oznajmił kustoszowi, że ma mnie wytransportować dalej.

Po chwili zatrzasnęły się za mną drzwi więzienia. Odtąd już nie byłem ani »pan« ani »doktor«, lecz *Sie, Mann!*

Razem ze mną wpuszczono pięciu lub sześciu obdartusów.

Jakiś rodzaj furtyana, o odrażającej powierzchowności, z czerwonym nosem, takiegoż koloru kołnierzem u mundura, z krótkiem pałasikiem kazał nam się ustawić w odległości pięciu kroków jeden od drugiego, tuż przy ścianie długiego ciemnego korytarza, i to twarzą do ściany. W tej pozie staliśmy z pół godziny, dopóki nie zebrało się ze dwunastu



Nowy prezes Tow. dziennikarzy polskich:
Radca Adam Krechowiecki,
redaktor »Gazety Lwowskiej«.

takich obdartusów. Gdy liczba była pełna, dostojnik o czerwonym nosie i kołnierzu takiegoż koloru, ustawił nas w szeregu i zaprowadził długiemi krętemi schodami na dół ze dwa piętra. Przeszliśmy kilka korytarzy, wreszcieśmy się znaleźli w sekretaryacie więziennym. Zapisywano jednego po drugim, a po tej krótkiej procedurze, przy której odebrano mi jeszcze palto i miano ochotę odebrać krawat, zapędzono do niewielkiej komórki, do której światło wpadało z góry przez maleńką matową szybkę. Tam już było z pięciu ludzi. Klatka się zupełnie zapełniła, jeden stał koło drugiego. Zaduch był nieopisany. Zresztą wśród tych ludzi panował bardzo dobry humor, żartowali, śmiali się, rozmawiali w złodziejskiej gwarze. Głównym przedmiotem ich rozmowy był wymiar kary, która ich oczekiwała. Wszyscy bowiem, jak i ja, świeżo się dostali do więzienia, byli w śledztwie. Jeden mówił dobrodusznie: »Jeżeli się przyznam do kradzieży, to mnie wsadzą na trzy miesiące: listopad, grudzień, styczeń. W najgorszą porę w zimie — gdzie znajdę pracę w lutym? Lepiej się nie przyznam, to w śledztwie posiedzę do grudnia. Potem udowodnią, skażą na cztery miesiące, śledztwa nie odliczą i wyjdę w kwietniu. Właśnie na samą porę!«

Ten człowiek, mówiący o więzieniu tak, jak o instytucyi dobroczynnej dla pozbawionych pracy robotników, niemało mi zaimponował.

Czułem się tak słaby, żem się ledwie trzymał na nogach. Była już zapewne czwarta popołudniu, proszę więc odźwiernego, który się pojawił, aby wpuścić nową partyę, że chcę szklankę herbaty, a pieniądze złożone są w portmonetce w sądzie u góry.

Roześmiał się szyderczo: »Herbaty? A może z rumem?« i poszedł.

Tak przeszedł czas aż do zmroku. Chwilami myślałem że zemdleję, po przebytych bowiem wzruszeniach nastąpiła reakcya i owładły mną szalone nerwowe bóle żołądka.

Z politowaniem spoglądali na mnie wytrawni »bywalcy więzienni«.

Wreszcie zaczęto nas wywoływać po nazwisku jednego po drugim. Nogi podemną dygotały i sądzę że w owej chwili nie byłbym się sam poznał w lustrze. Jakiś szum i zamęt powstał w mojej głowie; starałem się chodzić po izdebce, gdyż już zrobiło się przestronniej, lecz miałem chwilami wrażenie, że podłoga się podemną ugina, zapada i ja sam lecę gdzieś w jakąś przepaść, głębię. Przed oczyma miałem wciąż poruszające się białe, żółte i czarne punkciki. Parę razy zatoczyłem się i omało nie upadłem.

(»Trzeba było zawołać doktora«, wtrąciłem, przerywając Drowi Rakowskiemu opis tych pierwszych bolesnych przejść w więzieniu).

»Doktora?« odpowiedział więzień — Czy pan wie, co mi powiedział jeden z współkolegów, zamkniętych wraz ze mną w tej klatce, gdy spostrzegł, że nie mogę utrzymać się na nogach? — Powiedział mi: »Baczność, panie pan, bo co chwila zagląda tu przez okienko we drzwiach dozorca; gdy pana tak zataczającego się zobaczy, pójdziesz pan pod zimny prysznic jako pijany«.

W tej chwili wywołał mnie dozorca. Gdym za nim przechodził długi korytarz, osądziłem, że chwila jest odpowiednia, aby go powiadomić, że chcę doktora i że nic w ustach nie miałem.

»Doktór przychodzi przed południem o jedenastej, to się go można jutro poradzić, — a zupę wydają o wpół do siódmej«, odrzekł zapytany.

C. d. n.

Nowy prezes Tow. dziennikarzy polskich.

Wskutek zgonu Liberata Zajączkowskiego opróżniła się godność prezesa Towarzystwa dziennikarzy polskich we Lwowie. Kwestya następcy po Zajączkowskim wydawała się zrazu trudną do rozstrzygnięcia. Nerwowy i drażliwy światek dziennikarski, który z powodu dzielących go różnic politycznych przez tyle lat nie mógł wytworzyć korporacyi zawodowej, musi mieć u steru swojego Towarzystwa człowieka nietylko zasługującego na powszechne zaufanie, nietylko sprężystego kierownika interesów i godnego przedstawiciela zawodu, ale w dodatku kogoś takiego, co nie budzi szczególnych sympatyj i niechęci politycznych. Po bardzo skrupulatnem zlustrowaniu całej rzeszy dziennikarskiej wybór padł na redaktora »Gazety lwowskiej« i znakomitego powieściopisarza — Adama Krechowieckiego. Jemu też powierzono godność prezesa Towarzystwa dziennikarzy polskich na walnem zgromadzeniu członków, odbytem w niedzielę d. 17 bm.

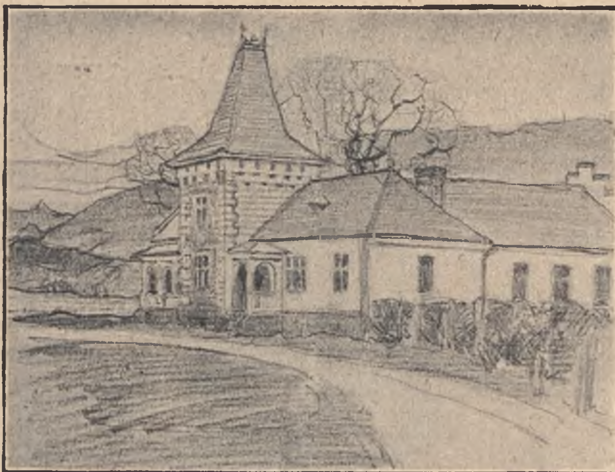
Wybór Adama Krechowieckiego przyjęty został z szczerem zadowoleniem przez ogół dziennikarstwa lwowskiego, które ceni w nim świetnego publicystę i człowieka tęgiego charakteru, posiadającego wszystkie kwalifikacye do kierowania młodą, a tak szczęśliwie prosperującą instytucyą. Luka po Zajączkowskim została zapełniona w całem tego słowa znaczeniu korzystnie. Nowy prezes, dziękując za wybór, zaznaczył, że dołoży starań, aby odpowiedzieć oczekiwaniom, przywiązanym do jego osoby. Tego są wszyscy pewni.

Towarzystwo dziennikarzy polskich rozwija się z roku na rok coraz pomyślniej. Majątek jego, zebrany w ciągu ośmiu lat, wynosi około 120.000 koron.

Obs.

W DĄBROWEJ.

Pamiętamy jeszcze senzacyę, jaką przed półtora rokiem wywołała wiadomość, że głośna powieściopisarka i artystka dramatyczna, p. Gabryela Zapolska, po ustąpieniu ze sceny zasiadła przy biurku redakcyjnym »Słowa Polskiego«, postanowiwszy poświęcić się zawodowi dziennikarskiemu. Świat dziennikarski Lwowa zyskał niepospolitego



Pałacyk w Dąbrowej.

Jubileusz pedagogiczny.

Całe zastępy pań lwowskich obchodzą 21. listopada jubileusz dwudziestopięcioletniej działalności wychowawczo-społecznej, p. Wiktoryi Niedziałkowskiej, właścicielki jednego z najlepszych pensyonatów lwowskich, założonego w r. 1876. Na program jubileuszowy składa się solenne nabożeństwo w Katedrze, złożenie życzeń jubilatce w pensyonacie i zebranie towarzyskie w sali kasyna miejskiego. Uroczystość zaaranżowaną została na wielką skalę. Do samego komitetu, przygotowującego obchód, należy 26 pań, które rozwinęły sprężystą akcyę, aby jaknajlepiej upamiętnić wyjątkowy dzień w życiu swojej ukochanej wychowawczyni. P. Niedziałkowska zasługuje też na ten objaw gorącej sympatyi w zupełności. Równocześnie z jubileuszem ćwierć wiekowego istnienia swego zakładu obchodzi trzydziestą rocznicę pracy nauczycielskiej, w ciągu której, ożywiona naj-



Gabryela Zapolska-Janowska.



Stanisław Janowski.

kolegę, publiczności przybyło nowe, świetne pióro, które w fejletonie, w notatkach artystycznych, w kronice rozrzucało perły obserwacyi, stylu i fantazyi, zmienionej na codzienny użytek. Zanosiło się na to, że Zapolska zostanie co najmniej długie lata w redakcyjnym warsztacie. Prawie niespodziewanie stanął temu na przeszkodzie kobierzec ślubny. P. Zapolska wyszła za mąż i przestała być dziennikarzem.

Cicho, bez zapowiedzi oficyalnych, w gronie tylko garstki najbliższych przyjaciół, odbył się w Dąbrowej, koło Nowego Sącza ślub Gabryeli Zapolskiej z p. Stanisławem Janowskim, znanym artystą malarzem. Tylko stosy telegramów gratulacyjnych, które nadeszły podczas uczty weselnej świadczyły, że w oddalonej wsi podgórskiej odbył się akt nieobojętny dla szerszych kół naszej publiczności. Pp. Janowscy osiedli na stałe w Dąbrowej, wynająwszy na dłuższy czas śliczny pałacyk, w którym p. Janowski urządził pracownię malarską. Tak niespodziewanie spadł na Dąbrowę zaszczyt zamienienia się w małe ognisko sztuki, na które nieraz zwracać się będą oczy ogółu.

Pałacyk w Dąbrowej zamieszczamy wedle rysunku p. Stanisława Janowskiego.

Obs.

szlachetniejszym duchem i przygotowana znakomicie pod względem zawodowym, wychowuje już drugie pokolenie kobiet polskich na obywatelki, świadome swoich zadań. W jubileuszu jej biorą udział setki rodzin polskich.



Wiktorya Niedziałkowska.

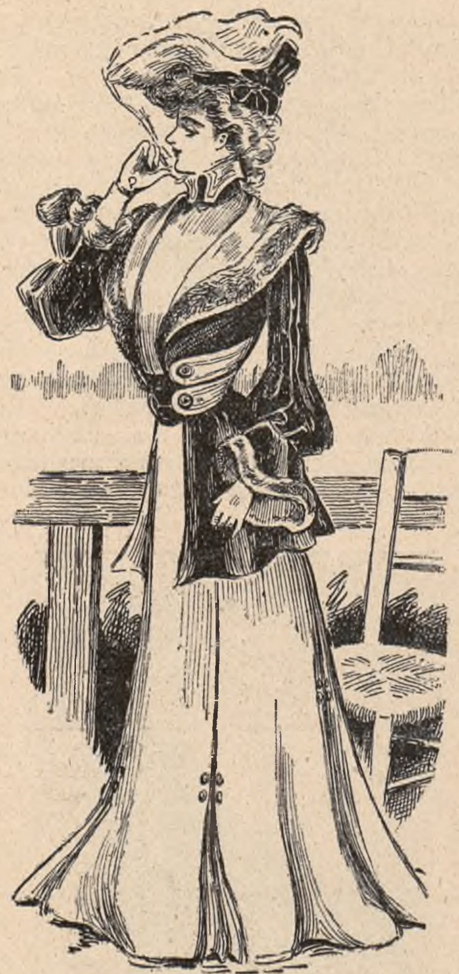


Fig. 1.



Fig. 2.

DLA NASZYCH PAŃ.

List paryski.

O modach pisać, moje panie, właściwie nie należy; metoda poglądowa jedynie ma racyę w tej dziedzinie. Trzeba pokazać te arcydzieła mody, nie opisywać je.

Ładna suknia — to jak piękny wiersz; opis nie wystarczy, nie da należytego wyobrażenia, trzeba się poznać z niemi naocznie, odczytać, zobaczyć.

Posyłam Wam, moje panie, kilka zimowych modeli, zrodzonych w pracowniach paryskich. Niewiele ich — ale za to wszystko w dobrym guście.

Fig 1. przedstawia suknię z sukna szarego — *ciel d'hiver;* spódnica z kontrafałdami wpuszczanemi. Paltocik aksamitny *cuir de Cordue,* przybrany grepsami; kamizelka i wyłogi z szarego sukna stębnowanego. Kapelusz cały z piórek przybrany z tyłu czarną kokardą aksamitną.

Przyznacie, że jest w tym sz.k i elegancya!

Bardzo wytworną jest fig. 2. Suknia z zibeliny ciemno wiśniowej; mankiety i wyłogi z aksamitu świecącego tegoż samego odcienia; przybranie ze skunksów.

Fig. 3. suknia sukienna przybrana szynszylami.

Homespun szary, z połyskującym pod światło srebrzystym włosem służy za materyał fig. 4. Paltocik z długiemi połami sfałdowany z tyłu. Przybranie z taśmy szaro wełnianej, przerabianej nitkami srebrnemi. Toczek z aksamitu przybrany z przodu dwiema dużemi agrafami z żetu.

Najskromniejsza to z tych toalet — a nie mniej gustowna!

Etincelle.

O jours'ach i zastawie stołu.

Przedruk wzbroniony.

Nadchodzi kampania zimowa, sezon w którym panie obejmują berło rządów w salonie i jadalni. Każda z pań przemyśliwa już obecnie nad ważną kwestyą jaką zaprowadzić w przyjęciach nowość, jaką wymyślić senzacyę, aby przyćmić ukochane przyjaciółki.

Z końcem ubiegłego sezonu zdobyła się hrabina Z. na pomysł jeden oryginalny: kazała podać gościom kolacyę na stole nie nakrytym, to znaczy: bez obrusa; ścieżka tylko biegła środkiem stołu, a na niej mieściły się nakrycia i półmiski. Pomysł nowy: chociaż efektu nie zrobił, jak z przekąsem szeptały sobie do uszu damy obecne, wzruszając ramionami — pomimo że drzewo stołu prezentującego najnowszy styl — było bajcowane na zielono. Nie, idei tej nie należy podejmować na nowo, inaczej gotowiśmy się cofnąć do idylicznych czasów, kiedy nóż i widelec należały do rzeczy nieznanych, jak dotąd jeszcze u chińczyków Władczyni-moda zachowuje tedy obrus, znosząc natomiast nadmierną ilość serwetek, czyniących wrażenie nieestetycznego przeładowania. Bardzo elegancko wygląda stół nakryty suknem, przeciętem w środku białą, szeroką wstążką atłasową, zakończoną z obustron lekko przypiętymi bukiecikami z świeżych fiołków. Z tych samych kwiatów



Fig. 3.



Fig. 4.

muszą być w tym wypadku bukieciki dla pań, ewentualnie bukiety po obu końcach stołu, ustawione w niskich, szerokich wazach. Prócz tego nakazuje moda wyłącznie niskie kosze, półmiski, żardinierki, wazony i t. d. ponieważ wysokie garnitury zasłaniają osobę siedzącą naprzeciw i utrudniają konwersacyę.

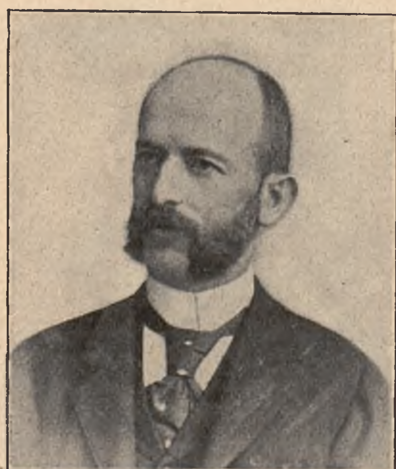
Nadzwyczaj powiewnie da się zaaranżować nakrycie stołowe z garnituru tiulowego, mianowicie w ten sposób, że z obydwu stron stołu. za talerzami, przymocowuje się zapomocą sztyfcików olbrzymie róże z tiulu jasno-zielonego. lub złoto-żółtego. Tak udrapowany tiul tworzy niejako obramowanie z róż dla rzeczy, stojących w pośrodku stołu, jak karafki z wodą, butelki, solniczki, etc. Do żółtego tiulu nadają się bukieciki stokrótek, do zielonego zaś białe chryzantemy, ewentualnie rozrzucone drobne kępki fiołków, połączone z sobą złotym sznurkiem. Bardzo oryginalny efekt wywołują też wstążki w poprzek stołu rozpięte pomiędzy talerzami. Wystarcza do tego wstążka 8 cm. szeroka, zaranżowana w ten sposób, że łączy talerze po obu stronach stojące. W ten sam sposób można też dekorować haftem lub gęstą *pointlace.* Najgustowniejszem wydaje mi się utrzymanie całej dekoracyi stołowej w jednym kolorze. Najlepiej nadaje się do tego kolor czerwony. I tak ścieżka z czerwonych wstążek, czerwone gwoździki lub chryzantemy w czerwonych wazonach, czerwone abażury, czerwone podstawki do konfitur, wreszcie czerwona karta z menu.

Przy liczniejszych zebraniach podaje się teraz głównie na stolikach, mieszczących 4—6 osób, przyczem da się doskonale zastosować system *mille-fleurs.* Dekoruje się mianowicie każdy stolik innymi kwiatami, a osobom przeznaczonym do tego samego stolika podaje się te same bukieciki. Można przytem dekoracyom tym nadawać znaczenie symboliczne, przystrajając n. p. stół dla młodzieży w stokrótki i pierścionki, młodych mężatek — czerwonemi różami, starszych chryzantemami rozmaitych odcieni. Pstre i różnobarwne mogą też być menu, a niejeden figiel, niedozwolony przy uroczystym, długim stole, przy tych małych stoliczkach bardzo jest mile widziany. Oryginalne i dowcipne menu zaprezentowano gościom niedawno na śniadaniu, znanego Krezusa amerykańskiego Astona. Piękna i dowcipna pani domu wpadła na pomysł sporządzenia w miniaturowym formacie z marcypanu wszystkich potraw jakie miały być podane do śniadania i ustawienie tego plastycznego menu obok każdego nakrycia.

Mogę także podać sympatyczną zmianę dotyczącą *jours'ów.* Odpada mianowicie kłopot skomplikowanego układania kanapek, które dotychczas zabierały pani domu tyle czasu! Najnowsza moda uwalnia od łamania sobie głowy nad drobiazgową mozaiką kanapki — wprowadzając kanapki, dyskretnie nakryte z wierzchu cienką kromeczką bułki. Prąd modernistyczny, dozwalający się tylko domyślać, odgadywać, przeczuwać wkroczył więc także w dziedzinę kanapki. Ze słodyczy należy podawać tylko najlżejsze wyroby, najlepiej owoce świeże lub smażone. Nie zgadza się z dobrym tonem podawać różnorakie ciasta, gdyż podobna herbata nie ma wcale za zadanie zastąpić podwieczorku z dawnych dobrych czasów. Przyjemną tę zmianę wywołała zapewne okoliczność, że w obec powodzenia jourów, dama utrzymująca rozgałęzione stosunki towarzyskie, składa często tego samego dnia kilka wizyt i przez grzeczność wszędzie musi coś skosztować

ALBUM NOWEGO SEJMU

SERYA VII.



Dr Stanisław Schätzel
Brzeżany - Złoczów (demokr.)



Ks. Karol Krementowski.
Jasło. Mała własność (kons.)



Artur Zaremba Cielecki.
Buczacz. Mała własność (kons.)



Stanisław Jędrzejowicz.
Rzeszów. Wielka własność (kons).



Janusz Tyszkiewicz.
Kolbuszowa. Mała własność (kons.)



Dr K. Paygert.
Czortków. Wielka własn. (neokons).

Miniaturowe porcyjki są zatem koniecznością! Należy też zanotować inną reformę w stosunkach towarzyskich, którą babki nasze z oburzeniem byłyby odrzuciły. Mam na myśli *jours*'*y* urządzane raz lub dwa razy miesięcznie przez panny, a w których biorą udział nietylko rówieśnice, lecz także młodzież męska. Kwintesencya powyższej reformy na tem jednak polega, że od tych jourów wykluczone są p. t. matki. »*Garde-dames* wstęp wzbroniony« brzmi hasło, obowiązujące w owe dni. Zwyczaj ten, wyrósłszy na glebie amerykańskiej, w Europie szybciej niżby się można było spodziewać przyjął się. Na jourach młodych panien podaje się miast herbaty z kanapkami — czokoladę w filiżankach stołowych i drobne ciastka wszelkiego rodzaju lub lody.

Owe t. zw. *jours blancs* mają wszelako także odwrotną stronę medalu! Młode gospodynie winne przyjmować swych gości li tylko własnoręcznie sporządzonemi specyałami! Baczność zatem młode gosposie, gdyż nie bez racyi twierdzi stare przysłowie, że droga do serca mężczyzn wiedzie przez żołądek!

Plusjaune.

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. W Drukarni »Czasu« w Krakowie.